

Pamiętnik Emigrantki

(autorka: **Prawdziwa soya**)

USA

Jest czerwiec 2002. Stało się. Dorosłam. Cudownie być dorosłym. Dorosły - wolny. Mam 19 lat, świat stoi przede mną otworem. JA decyduję. Postanowiłam spędzić wakacje w Stanach wykorzystując program dla studentów. Mówią: inne życie. Zachłystniesz się, zakochasz, nie wrócisz. Ryzyk-fizyk. Uśmiecham się pod nosem. Naprawdę się cieszę, że już dorosłam. Mama i tata stoją na tarasie widokowym, machają i płaczą, ale ja już ich nie widzę. Są tacy malutcy. Jak kropeczki. Lepiej nie patrzeć, czas wylecieć z gniazda i być silnym. No morę tears! Wyzwanie, przygoda czy test na dorosłość? Nie wiem jeszcze, co sobie zgotowałam, ale podoba mi się. Nowy York, tłum ludzi. Nie boję się(?) Stachura powiedział, że „stojąc w miejscu też się można zgubić”. Nie stoję, idę, ale ze spuszczonej oczami, żeby nikt nie poznał, jaka ze mnie bezbronna istotka. Nie ma ras. Wszyscy jesteśmy równi, tylko niektórzy są silniejsi i mniej kulturalni. Do Greyhound'a wchodzę ostatnia.

Podróż do Dakoty trwa 3 dni. Bez mycia, porządnego posiłku i spania. Zamykam się w kokonie. Na nikogo .nie patrzę, z nikim nie rozmawiam. Nic nie jem, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Jestem przerażona. Ładna mi Ameryka. Pot leje się strugami. Żadnych widoków. Zero zieleni. Ani jednego zakrętu. Nudna ta wolność. I nie pachnie ładnie.

Cel osiągnięty. Jestem w Dakocie, w małym, cowboyskim miasteczku, z piaskiem na drogach zamiast asfaltu. To tu gdzieś nagrywali „Tańczącego z wilkami” i „Armagedon'a”. Oprócz tych dwóch perełek miasteczko nie ma się czym pochwalić. Jest jeden sklep spożywczy, jeden ogrodnicy, jedna szkoła, jeden fryzjer, jeden bar. Wszyscy się znają. Jak w wielkiej rodzinie. American size. Jestem przerażona po raz drugi. Dziki-dziki Zachód. Dzwonię do domu i płaczę. Tłumaczę mamie, że to ze zmęczenia. Zasypiam, śpię dwa dni.

Sundowner Motor Inn. Tu pracuję jako pokojówka. Nie jestem zaskoczona swoimi obowiązkami. Domyślałam się. Nie jest to łatwa praca. Trochę się brzydzę na początku. Łazienkę sprzątam w rękawiczkach. Najgorsze te włosy - są dosłownie wszędzie. Włosy obcych ludzi. A ja muszę je zbierać. Chciałam Ameryki to ją mam!

Dla zabicia czasu i nostalgii zatrudniam się dodatkowo w restauracji Happy Chef i powoli, bardzo powoli wychodzę z kokonu. Tu patrzę na Amerykanów z innej perspektywy, tu nie zbieram ich włosów, tylko z nimi rozmawiam, śmieję się, dostaję napiwki. To naprawdę mili ludzie. Że fałszywi, że prości (żeby nie powiedzieć prostacy)? To co, ale się uśmiechają i wyciągają mnie z tego cholernego kokonu. Mają moc, choć nawet nie zdają sobie z tego sprawy. Są tacy jacy są, żyją tak, jak im się podoba; i co najważniejsze: są mistrzami w dziedzinie pt. „Take it easy!”. **Obie prace nauczyły mnie trochę życia. Praca w motelu**

pokazała mi, że nie jestem królową, choć dziadek tak do mnie mówił odkąd pamiętam, i potem gdzieś to w człowieku siedzi. Słowo daję, że nie ma lepszego sposobu na temperowanie „książęcego” charakteru. Druga praca nauczyła mnie uśmiechu. I tego, że mogę innym rozjaśnić dzień. Słowem, miną, gestem, czymkolwiek, jakkolwiek. Sobą. Do kraju wracam z misją: będę otwarta i miła. W końcu wyszłam z kokonu. Uff! Nie zakochałam się, nie zachłysnęłam i wróciłam. Z wielkim bagażem, dosłownie i w przenośni. Z chęcią bycia dobrym, nawet jeśli ta moja dobroć ma graniczyć z naiwnością. Od 2002 wyznaję zasadę: „Dzień bez uśmiechu - dniem straconym!” Mam nadzieję, że mi nie minie. A jak minie, to znowu tam pojedę.

ANGLIA

Zapomniałam dodać, że Stany obudziły we mnie niespokojną duszę. Stałam się trochę takim Jasiem Wędrowniczkiem, co z całym dobytkiem na plecach przemierza kręte życiowe ścieżki. I nie straszne mu wielkie powalone konary drzew leżące na drodze. Połknęłam bakcyła i już nie mogłam usiedzieć w domu. Ba! Ja w ogóle zaczęłam się dusić we własnej ojczyźnie. Przykre, ale prawdziwe. Jedni chodzą na dyskoteki, inni łowią ryby, ja się pakuję i wyjeżdżam. Trzeba coś w życiu robić. Tym razem lato spędzam w Londynie, a dokładniej w Wimbledonie. Kiedy człowiek nie buduje wokół siebie jakiejś bezsensownej ściany, ale otacza się aurą przyjaźni, dobroci i ciepła, to nie ma siły, która zdołałaby go pokonać. Zawsze znajdzie się ktoś z podobną aurą, chętny do pomocy. Ja właśnie tylko takich ludzi spotykałam w Anglii. Może właśnie dlatego zamiast zostać trzy miesiące, zostałam pół roku i do dziś mam niedosyt. Nie wiem, czym wytłumaczyć mój sentyment do Londynu. Przecież też ciężko pracowałam. W ogóle nie korzystałam z życia, w ten powszechnie uznawany i utrwalany sposób: nie chodziłam do pubów, nie tańczyłam na barze, nie całowałam się z chłopakami, nawet za dużo nie pozwiedzałam...Wyciskałam marchewki. (Wiem, że to głupio-śmiesznie zabrzmiało). Sklepik, w którym pracowałam, o wdzięcznej nazwie „GertinTresh”, specjalizował się w serwowaniu świeżych owoców i warzyw pod różną postacią. Produkowaliśmy soki, sałatki i kanapki na niewielką skalę. Miało być zdrowo, świeżo i miło. Cerę miałam jak pupa niemowlaka. Nie wiem czy to te soki, mgła, czy z radości tak wyładniałam. Lubiłam to miejsce. Tych ludzi. Znowu utwierdziłam się w przekonaniu, że warto się uśmiechać. **Podobno o charakterze ludzi decydują ich poranki. A ja zawsze pracowałam na ranną zmianę i to ja miałam ten zaszczyt, choć w maleńkim stopniu, wpływać na dzień zaspanych Brytyjczyków „obdarowując” ich papierowym kubkiem gorącej kawy i (po raz setny to napiszę) uśmiechem.** Bo warto. Uwielbiam się uśmiechać. Chyba robię to najlepiej. Czego oprócz uśmiechu nauczyła mnie Anglia? Nauczyła mnie wić gniazda. Myślę, że właśnie tam opanowałam do perfekcji sztukę stwarzania sobie namiastki domu gdziekolwiek. Akomodacji. I tolerancji. Już nigdzie indziej nie spotkałam się z takim mix'em kulturowym. Zadziwiającym jest fakt, że z pozoru tak różni od siebie ludzie potrafią żyć w harmonii, a nawet potrafią sobie nawzajem pomagać. Niewiarygodne? Ale prawdziwe! Na własne oczy widziałam!

Do Polski wracam z coraz cięższą walizką. Płacę grzecznie za nadbagaż i już planuję, gdzie by tu znowu pojechać.

IRLANDIA

Padło na Dublin, bo mam tam kupę znajomych. A im człowiek starszy, tym zaczyna więcej myśleć i analizować. Czego się boję? Przecież do tego czasu szło jak po maśle. Prosta zasada: bądź otwarta i miła, a na pewno jakoś się ułoży. Już wiem, co mnie tak przestraszyło. Konkurencja. Wyjazdy letnie zrobiły się bardzo modne, Jak zaczynałam jeździć na saksy, to się dopiero cała akcja rozkręcała. Teraz jest coraz trudniej znaleźć mniej lub bardziej satysfakcjonującą pracę. Nic to - ryzykuję i, o zgrozo, w trzecim dniu poszukiwań znajduję posadę. Knajpka nie byle jaka, bo prowadzona przez brata słynnego Bono. Taki zdrowy fast-food. Czułam się jak w moim ukochanym londyńskim „GettinTresh”. Jakbym cofnęła się w czasie. Nie chciałabym przynudzać pisząc ciągle to samo, ale dla mnie fenomenalnym jest zjawisko uśmiechania i bycia miłym dla zupełnie obcych osób. Jak trochę o tym zapomnę, bo w Polsce nie mamy tego zwyczaju, to wyjadę i znowu mi przypomną. Irlandia jest trzecim z kolei państwem, gdzie ludzie uśmiechają się ot tak. Bez większego powodu. Irlandczycy są przystępni, pomocni i bezinteresowni (przynajmniej ci, z którymi osobiście miałam do czynienia). Chętnie tłumaczami: drogę, teksty piosenek, różnice językowe. Lubią sport. I piwo. Wesoły naród. Czy mi przypomniał Stany? Owszem. Ciekawe czemu?

W day offy wyjeżdżam za miasto i zielono mi. Mało słońca? Ale za to jak pachnie świeżością. Jaki jest mój ulubiony zapach? Zapach łąki. A Irlandia jest jak fiołka z naturalnymi zapachami. Raz zapachnie morzem, raz deszczem, raz wiatrem... I ta zabójcza zieleń. Porażające widoki. Stoisz, patrzysz i chcesz, żeby ta chwila trwała wiecznie. Aparat fotograficzny to profanacja. Próbuje wyryć w pamięci to, co widzę.

A w poniedziałek rano wcale nie jest mi smutno, że muszę iść do pracy. A dlaczego? Bo z góry wiem, że spotkam sympatycznych ludzi z rozbajającym uśmiechem. I że znów nauczę się nowych słów i może dziś już zamiast kelnerowania stanę na kasie. Poważna sprawa. Czy się sprawdziłam, czy polubił mnie pracodawca, czy mi zaufa? Naturalnie, że tak. Oni ufają ludziom. Nie patrzą podejrzliwie. Z góry zakładają, że dasz radę. I mają rację. Dają radę. Tu nikt nie podcina skrzydeł. Tu się uskrzydla. Pewnie dlatego tak trudno młodym ludziom wrócić do kraju. I mi coraz trudniej się wraca, ale wracam.

AUSTRIA

Jestem typem człowieka, który lubi skończyć to, co zaczął. A że zaczęłam studiować... Tylko co zrobić, kiedy człowiek nosi i już nie może skupić się na nauce? To wtedy trzeba wyjechać na studia zagranicę. Przyjemne z pożytecznym; poznaję nowy kraj, nową kulturę (jakże inną od tej, do której przywykłam), a tym samym kontynuuję naukę. A żeby utrzymać się w moim świeżo-uwitym gniazdku, potrzebuję pracy. W Austrii Polacy jeszcze nie mogą być legalnie zatrudnieni, na pewno nie na taką skalę jak w Anglii czy Irlandii. Polaków jest tam oczywiście fuli, ale pracują nielegalnie, po-kryjomu, tak, żeby nikomu nie rzucać się w oczy.

Jak myszki, biedne, szare myszki, które wpadły w pułapkę niewolnictwa 21. wieku. Ja nie wiem czy zaliczam się do tej grupy. Teoretycznie studiuje zagranicą i tylko sobie dorabiam na czynsz i ksero. Jednak w praktyce jestem zaganiana, spóźniam się na zajęcia (do pracy nigdy), a wieczorem padam na łóżko jak kłoda. Nie mam czasu na znajomości, piwo i tańce. W Wiedniu po raz pierwszy wpadam w czarną dziurę. Pojawia się pytanie o przyszłość. Nie wiem gdzie, z kim i jak. Wracać do kraju? Zostać tu i udawać, że nie widzę, co się ze mną dzieje? Jak długo można wmawiać sobie, że żadna praca nie hańbi? Rok? Dwa? Całe życie? Zmieniam pracę. Już nie sprzątam. Teraz opiekuję się dziećmi. Lepiej, dużo lepiej. One mnie ratują. Trzej bracia, rodzeni regularnie co dwa lata: Nici, Dodi i Flo. W dzień diabły wcielone, po wieczornej kąpieli - anioły na ziemi, chwytające mocno za serce. I już nie pamiętam, że godzinę temu pozamykałam ich w pokojach (każdego oddzielnie), bo byli nie do wytrzymania. Siedząc między nimi na sofie, oglądając Spongebob'a, już nie pamiętam, ile razy w ciągu jednego popołudnia wyprowadzili mnie z równowagi (czy to się w ogóle da policzyć?). Albo ile razy doprowadzili mnie do nieznośnego bólu głowy? To wszystko nieważne. Koniec końców zrozumiałam, co jest w życiu najważniejsze. **Łobuzy pomogły mi wyznaczyć cele i co tu dużo pisać, obudziły we mnie instynkt macierzyński.** Myślę, że najmocniejsze gniazdo z gałązek miłości, patyków ciepła, nici prawdy i zaufania umiem uwić tylko w Polsce.

POLSKA

Wracam na tarczy. Z czystym sercem i potrzebą prawdziwej miłości. Już mnie nie nosi, pragnę być tu i teraz. Czy jest mi łatwo? Nie. Są momenty, kiedy wychodząc na ulicę i patrząc na te szare budynki i ludzi bez wyrazu twarzy, tęsknię za zapachem tamtej łąki albo za uśmiechem przechodnia albo za tą drogą bez zakrętów. Potem tata mnie przytula. Spoglądam na mamę a ona taka wesoła. Cieszą się chyba, że ich córka w końcu znalazła drogę do domu. Dom - to piękne słowo. Chyba najpiękniejsze.

Najbardziej na świecie to chciałabym być Matką-Polką, a potem, zamieniając się w kropeczkę, stać na tarasie widokowym, zaciskać pieść i modlić się żeby moje dziecko znalazło drogę do domu.

Teraz dorastam....

Soya